



„Ostra Brama“ w Wilnie

(Fot. Szalay)

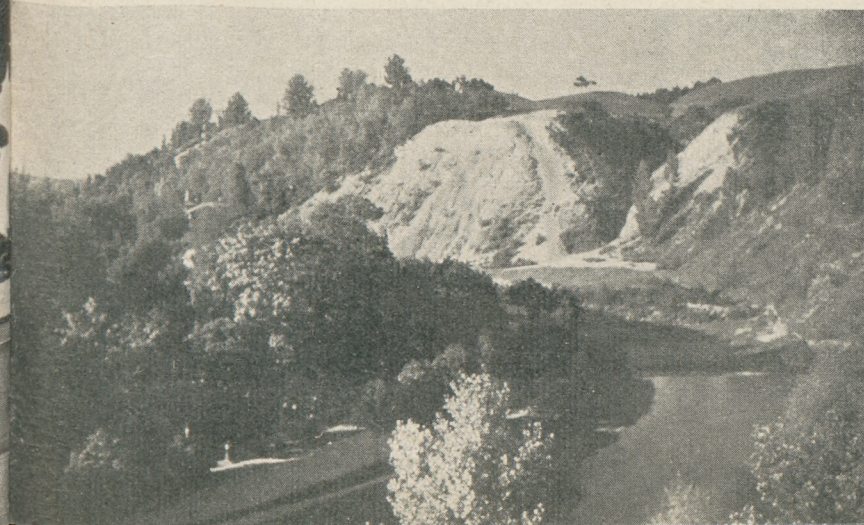
— „Du, Dragone“... — mówił ironicznie gefreiter Ludwik Schreier do wiecznie zaspanego dragona, któremu wszystko było „Wurst“. Jak się ten nazywał, nie pamiętam. Może August Müller? — Wszyscy byli do siebie podobni w tych złotych miękkich, równo z kolanami butach, w feldgrau, z żółtymi otokami czapek. — „Du, sich's mal, du Elefantenkind, du Ziegenbockreiter, du!“... Miał zobaczyć, że stajnia nie była czysta.

Ta stajnia służyła przed wojną dla cugowych koni. Ale latem roku 1917-go „koń cugowy“ w dworach litewskich był określeniem archaicznym, zapomnianym, niemożliwością. Teraz w tej stajni stało 6 koni dragonskich, a w pustym domku, gdzie wybuch wojny rozproszył marzenia o ustawieniu centryfugi — lokowało się sześciu ...die brawen Soldaten des Dragonenregiments.

Piękne to było życie gefreitera Ludwi-

Malownicze okolice Wilna

(Fot. Bulhak)



J. MACKIEWICZ

## JAK WILNO PRZECHODZIŁO Z RĄK DO RĄK

ka Schreiera i jego pięciu podkomendnych. Jeżeli zamiast przedwojennej cyfry stu anglerów i 50-ciu holendrów wypędzono na paszę jeszcze z dziewięćdziesiąt sztuk bydła — to starczyło mleka, i masła, i maślanki, i sera dla dworu, czeladzi i dragonów.

Lato roku 1917 było zupełnie „przedwojenne“. To znaczy w miarę gorące, pachnące lipami, kwitnące gazonami róż, pelargonji, georgiń, piwonji. Strzyżono trawę, a ogrodnik wynosił z oranżerii zagraniczne rośliny.

Jesień nawaliła owoców, że gałęzie się łamały. Nasz gefreiter przestrzegał bacznie, by jego „brawi“ dragoni nie kradli jablek, a zobaczywszy poktórego w sadzie, przemawiał doń z perswazją: „Du, Schweinhund du, mach dass du davon kommst!“ I dopiero wtedy osobiście zabierał się do zjadania śliwek i gruszek. — Tak się żyło, a żyło tylko przyszłością i nadzieją na rychłą zmianę.

I zmiana przyszła. Rok 1918-ty biegł poprzez jesienne miesiące ku swemu krańcowi. Dnia pewnego do dworu zawitał obcy dragon, a wraz z nim „Befehl!“ — Po godzinie zadudniły ciężkie, żółte buciska na kuchennych schodach. Wszyscy tam byli z jefreitrem na czele. Zrzadka tylko dźwięknęła ostroga. Na pożegnanie przyszli do pokoju kredensowego, ustawili się pięknie, w pasach, przy kawalerskich bagnietach, nawet czapki po tuższym zdjęli. Za stosowne uważali dziedziczkę pożegnać i pani domu dziękować: „Jawohl Gnädige Frau! es ist Krieg!“

Pojechali. Niosły ich odpasione na litewskim owsie trakeny, a z obłoku kurzu wysterczały końce polowych „Helmów“.



Wąskie uliczki staromiejskie

(Fot. Worobejczyk)

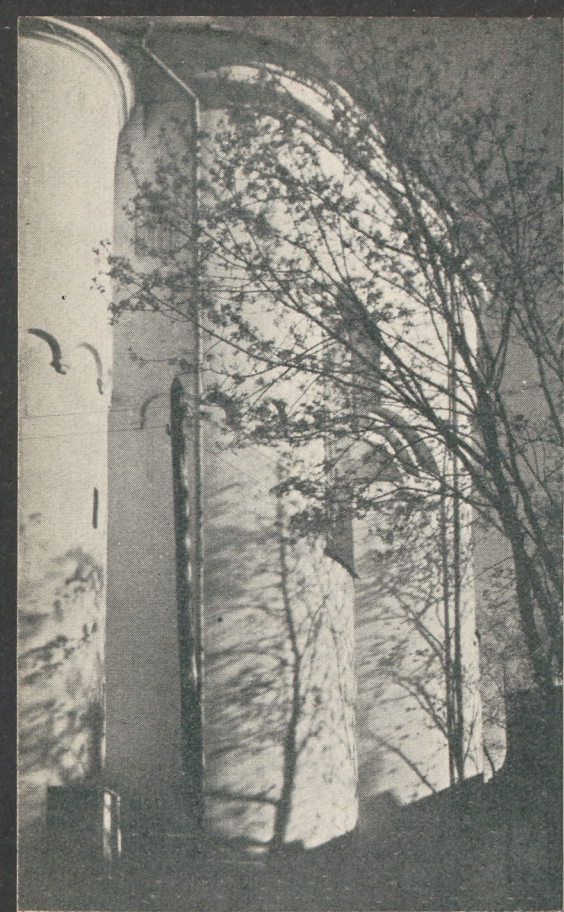
Nastąpiła cisza. Gościńcem kędyś ciągnęły tabory. Tam, gdzieś, dokąd pojechał Gefreiter des ...Dragonenregiments Ludwik Schreier, hoch zu Ross, w cywilu zdaje się — Briefträger (listonosz).

Od Oszmiany i Lidy, od Święcian, Poniewieża i Szawel dymiły w kurzu trakty, szosy i gościńce. Wielka Armja opuszczała Litwę.

Tymczasem w Wilnie...

\* \* \*

Jesień i zima roku 1918-go. Nastąpiły wielkie zdarzenia w życiu i na frontach. Jakiż wyraz znalazły na wileńskim dworcu kolejowym. Kolejki do kas, do pociągów, do biur o przepustki. Dworzec zdobywało się wówczas protekcją łapówką, chytrą i mocnymi łokciami. Ludzie przeżywali w nim ciężkie godziny bezsennych nocy, trwożliwych dni wyczekiwania.



Wilno. Widok z korytarza więziennego na absydę kościoła Bazylianów

(Fot. Bułhak)

Wybiła godzina, w której ostatnie pociągi wyjechały do Kowna i do Białego-stoku. Po peronie nie chodził już ani żandarm, ani Feldgrau — czy Militärpolizei, a tylko obdrapany typ w czerwonej opasce z „wintówką” w ręku.

\* \* \*

W lipcu 1920 roku oddział Jerzego Dąbrowskiego sklejał się naprędce w nową jednostkę kawaleryjską. Staaliśmy na Antokolu. Przyłączono do nas znaczną część rozbitej gdzieś jazdy Tatarskiej. Za bezpośrednich kolegów mieliśmy również spory oddziałek kubańskich kozaków, odprysniętych od armji Denikina. Wszyscy wtedy wiedzieli, że front nasz został przełamany i że nieprzy-

jaciel idzie na Wilno, ale nikt nie mógł upewnić, gdzie go spotkamy; przypuszczano, że gdzieś daleko od Wilna na północ.

Trzy razy w ciągu dnia, który aż nazbyt był długi, zapowiadano marsz, trzy razy z wodzami w ręku stawaliśmy przy okiełznanej i wymunштuczzonej głowie konia, trzy razy nie ruszyliśmy z miejsca. Tymczasem przybyły wagony i odeszły, a z nimi słońce. Ostatni rozkaz niemal noc całą trzymał nas w pogotowiu, nim przed świtaniem zabrzmiało: „do wsiadaniaaaa... na koń!” — Więc jednak nie do wagonów. Czyżby nieprzyjaciel był już tak blisko?

Los zrzucił, że w Nowej Wilejce wypadło mi się zatrzymać trzy minuty. Pułk został narazie, pluton mój ruszył z miejsca na podjazd.

Gdyśmy przechodzili przez Wilno, spało ono jeszcze krótkim letnim snem, nerwowym i niespokojnym o los własny, chociaż zapewne, jak i my, żołnierze, nie zdawało sobie sprawy z niezwyklej szybkości posuwającego się naprzód wroga. Tymczasem „front” zbliżał się do nas samych tysiącem kopyt końskich kawalerji Gaj-Hana. Już zagony jego podchodziły pod miasto.

Podjazd nasz wyrzucił „szpicę” i boczne ubezpieczenia. Cicho stapały konie po leśnym piachu. Wokół stał gęsty drobny sośniak, jakich setki rozciąga się na piaszczystych gruntach Wileńszczyzny. Las milczał. Droga wiodła coraz głębiej w knieje. Nagle... po wyrazie oczu, po skurczu mięśni twarzy jadącego przodem podoficera — zgadliśmy, że zaszło coś ważnego. Bezszelestnie zawrócił konia, trzymał zadartą w górę lufę „nagana” i szepnął tylko: „kozacy na małych koniach!” Zaledwie dosłyszalny chrzest gałęzi z przodu. Niezwykłe: szli tyraljerą przez gęsty las w konnym szyku. Sekunda decyzji: uchościć karjerem na zmęczonych koniach, nie mając oparcia z tyłu, nie było sensu; dopadną i porąbią. A więc zawrócić spokojnie i stępa. Na pierwszym zakręcie: karjer! Tymczasem na pierwszym zakręcie wyłania się nie-

spodziewanie nasza piechota. Skąd się tu wzięła — do nas nie należało. Naszą rzeczą było się ucieszyć, zdać sprawę prowadzącemu oficerowi i nie wiem już po jaką chorobę wdać się razem w awanturę bojową.

Piechota rozbiegła się w las, rozwinęła tyraljerę, chrzęseła zamkami karabinów i rzuciła w ciszę leśną pierwsze strzały. Bolszewicy stanęli na jedną małą chwilę. Skoczyliśmy naprzód. Jeden z naszych tatarów na białej kobyle z gołą szablą doskoczył kozaka, polecili w las i raptem obaj zapadli po brzuchy końskie w błoto, beznadziejnie wymachując jasnymi klingami.

— „Z koni!” Z za drzew wygodnie było celować i strzelać.

Kozacy, ku naszemu zdumieniu, przez gęsty las, jak druty kolczaste, parli naprzód w konnym szyku. Zdumiewająca odwaga! Odpowiedziały im kulomioty naszej piechoty, huknęły wszystkie karabiny tyraljery. Raz, dwa... cztery, siedem — polecały pierwsze granaty ręczne prosto w łby kozackim koniom! Przecież to nonsens szarżować w lesie. Na stojącego obok mnie naszego kaprala nalatywał kozak, zamachnął szablą, „brasaj rużjo, ty”...i runął na trzy kroki, jak kawał drewna, z przestrzeloną czaszką w dół. Ułan podskoczył i chwycił konia za uzdę. Wierny wierzchowiec kozacki uparł się zadem i nie chciał ruszyć od trupa.

Gwizd kul potrajał się niejako w hałasie łamanych gałęzi. Kozacy jak prędko skoczyli, tak również zawrócili, strzelając z koni. Nie było już czego sterczeć za drzewem, bo nadobitkę jakaś z piekła rodem artylerja jęła walić w las po swoich i wrogach.

Dnia 14-go lipca 1920 roku Wilno robiło wrażenie jakby wyjątkowo długo spało. Sklepy pozamykane, zabite deskami okiennic. Na bruku szwendało się trochę wyrostków żądnych wrażeń. Cofaliśmy się znów przez Zarzecze. Piechoty za nami już nie było. Nie spotykaliśmy żadnych żołnierzy. Wisiały jeszcze afisze..

Była godzina 10-ta rano. Jakiś przechodzień ostrzegł nas, że bolszewicy zajęły już Antokol. Pryncypalna ulica Mickiewicza leżała wymarła i robiła wrażenie opustoszałego podwórza zbankrutowanej fabryki.

W powietrzu wisiał wielki odwrót i wielkie rozprzężenie. W okolicy dworca i stacji towarowej, różnych składów i bocznic, ulicy Ponarskiej i Nowych Zabudowań — straszny obraz Wielkiego Odwrótu przedstawił się oczom w całej grozie. Tędy na Ponary i Landwarów cofali się cywilni uciekinierzy i armja. Już jej teraz nie było, a tylko to, co zostawiła po sobie: połamane koła, wywrócone dwukółki, wyprężone wozy taborów, na drodze sterczały hołoble pustej dorożki, leżały opony samochodów... Ze składów kolejowych wyciągano mąkę i cukier. Ktoś



Wilno.  
Kościół Bernardynów

(Fot. Bułhak)

napchał do taczki kilka bidonów nafty i teraz mu sąsiedzi kazali się dzielić — doszło do bójk.

Złe było i zdawało się, że gorzej być nie może...

\* \* \*

Tak się złożyło, że po kilku miesiącach, w październiku tegoż 1920 roku, znów byłem w Wilnie, zajętem przez wojska litewskie. Miasto wyglądało jakby się dźwigało z ciężkiej choroby. Wybladłe pustymi ulicami, ledwo się po jezdni i chodnikach ruszające. Wojska litewskiego mało. Raz przechodziłem, jak pod Ostrą Bramą stępa przejechał pluton huzarów z czapkami w garści, przy rosyjskich „szaszkach“ i w niemieckich mundurach. Poza tem snuli się oficerowie pojedynczo, białe i żółte otoki czapek. Milicja w zielonych opaskach. Cukiernia „Birute — Świtezianka — Rudnicki“, zmieniającą już po raz trzeci orientację państwową, grała od ucha kwartetem.

Bandytyzm na prowincji rósł, bezpieczeństwo malało. Przy kompletnym wyczerpaniu materialnem, znużeniu moralnem, handrze i wileńskiem: „Niechaj ich kaczki“ gruntowano stolicę Republiki Litewskiej, która zabłysnąć miała dawnymi promieniami Wielkoksiażęcej Litewskiej korony. Nie szło. Wypadało orać w opornym i niewydajnym gruncie wileńskim, tyłujęczynym i zdeзорjowanym do zgrzebnej koszuli. Były Jaszuny, Michaliszki, Troki czy Mejszażoła to inna orientacja, inne prądy, inne nastroje.

Władze litewskie dokonywały licznych aresztów na prowincji. W różnych posterunkach i komendaturach wdziało się dużo kozuchów i siermięg chłopskich. Na ławkach siedzieli ludzie podejrzeni ciągle o służbę w armji polskiej, to o przechowywanie zbiegłych żołnierzy. Każdy się przed pewną kulą w łeb wykręcał, wymigiwał, albo niewinność udowadniał.

Z drugiej jednak strony zachowanie wojsk litewskich po wsiach było więcej niż poprawne. Armja litewska walcząc z ogromną trudnością wewnętrznej karności wprowadzała moment propagandowy, bardzo ważny na naszych zdeзорjowanych politycznie ziemiach, nie wyzyskiwany przez żadną armję od roku 1914-go. Rabunki były rzadkością, za ser czy chleb placono, starano się poprawność zachowania doprowadzić do ideału.

Było to hasło obliczone na wzbudzenie przekonania: „nareszcie swoi!“ W praktyce się to nie udało i zresztą czasu nie było.

Podówczas armja polska sforsowawszy Niemen przez Druskieniki szła na Lidę. Trzeba przyznać armji litewskiej, że walczyła z wielkimi trudnościami w łonie własnych szeregów. Bo wojna tego rodzaju, jak z Polską, była dla jednych żywiołowo popularną, dla innych wprost ciężka

i nie do pojęcia: Kto swój, kto wróg?! Co tu gadać, brat spotykał brata na froncie. Taki sam stosunek był do jeńców polskich: bardzo wrogii, albo wręcz braterski.

W obecnym Kasynie Garnizonowem przy ul. Mickiewicza 13, mieściła się „Komendantura“.

Miasto, jak się rzekło, było opustoszałe. Lokali pod biura i ministerstwa wbród i pod mieszkania luksusowe urzędników. Generalne przenosiny z Kowna do Wilna już się odbyły. Tem większy był cios dnia 8-go października, gdy wojska generała Żeligowskiego ruszyły na Wilno.

Ewakuacja.

W ciągu dwunastu godzin trzeba było ewakuować miasto, przedmioty dnia powszedniego, nadzieje przyszłości. Naturalnie chaos panował ogromny, a na dworcu ścisk niedoopisania. W wagonach nie było miejsca. Rodziny urzędników pozostały w Wilnie. Do wieczora wszystko ucichło, miasto spało spokojnym, cichym snem steranego wrażeniami człowieka. Ale już od samego rana gorączkowo oczekiwano zmian.

Zarechotał pierwszy kulomiot i zaraz umilkł. Gdzie? Podobno na lidzkim gdzieś trakcie. Poza tem panowała cisza.

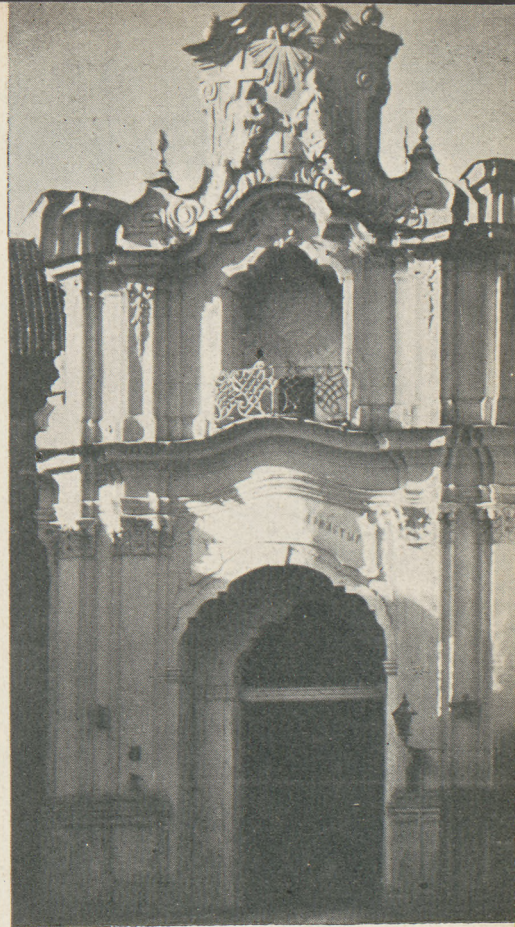
Zajęcie Wilna odbyło się zupełnie inaczej, niż tylokrotne od roku 1915 zmiany. Nie było wielkich przemarszów wojsk, zgiełku, rabunków, huku wysadzanych mostów, ni strzałów armatnich.

Zerwałem się na urywane strzały karabinowe, od strony dworca dochodzące. Pobiegłem w tamtą stronę. Kilku żołnierzy litewskich ostrzeliwując się przebiegało przez tor kolejowy. Jeden z nich szedł w nowym, ładnym mundurze, bez broni, z wystraszoną twarzą. Oddał karabin jakiejś dziewczynie, która go prowadziła. Nie wiedział, co ma z sobą robić.

Na ulicy Wielkiej leciał tłum wyrostków. Trzech z nich trzymało karabiny wysoko ponad głowę. Wrzeszcząc biegli w kierunku ulicy Zamkowej, skąd dochodziły wystrzały. Tłum zwolna poczynał się zbierać i wylegać z domów. Nagle przemknął samochód, w którym zamigotało francuskie kepi i angielska czapka. Wszystko parło na Plac Katedralny.

Widok ogólny Wilna

(Photo-Plat)



Wilno. Kościół Bazyljanów

(Fot. Buhak)

Pierwsi ułani. Zamachano czapkami, tu i owdzie wołano: „Niechaj żyją!“

W Cieleńniku samotny leżał żołnierz litewski. Leżał opodal dawnego pomnika Puszkina, leżał zabity. Skurczony, z twarzą na zgiętem ramieniu, druga ręka daleko odrzucona. Ktoś mu czapką z żółtym otokiem nakrył czaszkę, pewnie przebitą kulą.

Z ulicy Mickiewicza dochodziły ciągle owacje. Ruszyli nagle do Mostu Zielonego. Przy wejściu na most leżał drugi trup żołnierza litewskiego.

Od strony kościoła Św. Rafała, z ulicy Wiłkomierskiej zarechotał straszliwie karabin maszynowy. Celownik brał górą. Kule uderzały w mury domów, dzwoniły w więzaniach mostu.

Za chwilę rechot ustał. Ostatnie działo na odzyskanym szańcu.

